

[maraton z „życiówką”](#)

## Pokonał nowojorski maraton z „życiówką”

Z Łodzi do Nowego Jorku popłynęły serdeczne gratulacje, a także prośby o podzielenie się z czytelnikami „Panaceum” swoimi wrażeniami z tego niezwykłego biegu, będącego zwieńczeniem wcześniejszych, mozolnych przygotowań. Nie bez satysfakcji informujemy, że „zdobywcą” tegorocznego TCS New York City Marathon jest wiceprezes Okręgowej Rady Lekarskiej w Łodzi (do niedawna jej prezes), a także skarbnik Naczelnej Rady Lekarskiej - Grzegorz Mazur. Życzymy mu dalszych sukcesów. A oto jego relacja...

xxx

Rozgrywany od 1970 roku maraton w Nowym Jorku jest obecnie największą coroczną imprezą biegową na świecie, która w tym roku zgromadziła pięćdziesiąt dwa tysiące siedmiuset uczestników. Trzeba przy tym wspomnieć, że pierwszą edycję tych zawodów ukończyło zaledwie pięćdziesięciu pięciu biegaczy, którzy za udział zapłacili symbolicznego dolara. Nowojorski maraton uważany jest za bieg bardzo trudny, gdzie - jak napisało na blogu wielu uczestników - trzeba zapomnieć o biciu rekordów życiowych, bo jest tu pięć mostów, wiatr i suma wzniesień, sięgająca ponad sześćset metrów, czyli trzykrotnie więcej niż fałdowania rodzimych tras.

Kwalifikacje do udziału w TCS New York City Marathon można uzyskać na trzy sposoby, a więc poprzez: spełnienie wyśrubowanych limitów czasowych, wpłatę komercyjną na cele charytatywne, albo szczęśliwy los na kwalifikacyjnej loterii. Tym ostatnim sposobem, ku ogromnemu zaskoczeniu, udało i mnie znaleźć się w gronie uczestników największego sportowego wydarzenia jesieni w Stanach Zjednoczonych.

Start tegorocznego biegu zaplanowano na niedzielę 4 listopada i tradycyjnie jego miejscem był monumentalny, dwupoziomowy most Verazzano, będący niejako wrotami do Nowego Jorku od strony Oceanu Atlantyckiego. W ten niedzielny, chłodny poranek już od godz. 5:30 nieprzebrane tłumy miłośników długiego dystansu promem i autobusami zmierzały na wyspę Staten Island do Fortu Wadsworth, gdzie założono specjalne biegowe miasteczko, oferujące ciepłe napoje, bułki, batony, banany, a nawet żele energetyczne. Najważniejsze jednak były polarowe czapki, które przy temperaturze niewiele ponad 5 st. C były niezwykle miłym prezentem od organizatorów maratonu.

Po trzech godzinach spędzonych na rozgrzewaniu się kolejnymi kubkami herbaty,

malowaniu narodowych barw na policzkach oraz rozmowach z innymi maratończykami, usłyszałem wreszcie w głośnikach sygnał przejścia do mojej strefy startowej, obejmującej również zawodników z profesjonalnej elity. Przy energetycznych dźwiękach „Start me up” zespołu Rolling Stones wielobarwny peleton biegaczy ruszył na linię startu, gdzie przygotowano niezwykle oprawę rozpoczęcia biegu. Po sympatycznym wystąpieniu burmistrza Nowego Jorku, można było zachwycić się pięknem głosu wokalistki, śpiewającej na żywo hymn USA i przekonać się, że znakomitym sygnałem do startu może być... wystrzał armatni.

Pierwsze trzy kilometry maratonu to niezapomniany widok na Statuę Wolności i południowy Manhattan z jego strzelistymi budowlami, skąpanymi w nieskazitelnym błękitcie poranka. Emocje startu i uroków amerykańskiej architektury starały się skutecznie studzić powiewy atlantyckiego wiatru, jednak szybko musiały dać za wygraną, bo po osiągnięciu Brooklinu, rockowe rytmy koncertujących kapel i tysiące żywiołowych kibiców podniosły temperaturę wszystkiemu, co się rusza.

Ciepło zrobiło się jeszcze bardziej, gdy wyłoniły się biało-czerwone flagi naszych rodaków mijanego Greenpontu i jakże znajome okrzyki z naszego podwórka. Na szczęście nie dawało się ono mocno we znaki, bo co dwa kilometry na uczestników czekały napoje i wsparcie kaloryczne. Był więc czas i siły, by dostrzec malownicze zakątki Queens oraz niezapomniane klimaty ortodoksyjnej czerni i bieli mieszkańców Williamsburga, skąd trasa powiodła na Most Pułaskiego i najtrudniejszy do pokonania Most Queenboro, przenoszący „runnersów” na Pierwszą Aleję na Manhattanie.

Dalej maratońska droga przecinała Harlem i zawitała do Bronxu, gdzie po krótkich dwóch mostach znów przeniosła nas na Manhattan, by tym razem biegnąc słynną Piątą Aleją, zamiast ekskluzywnych sklepów, wyglądać upragnionego Central Parku. Listopadowe kolory złota i czerwieni parkowych drzew dodawały otuchy i wraz z jeszcze głośniejszą wiwatującą widownią, wydobywały najgłębsze pokłady energii, tak potrzebnej na uciążliwych falistościach ostatnich kilometrów biegu.

Nie sposób jednak opisać radości i entuzjazmu finiszowych metrów, zwłaszcza momentu, kiedy z rękami wzniesionymi ku górze przecina się linię mety, rozpostartą między pochyłościami, będącymi symbolem bezgranicznej otwartości miasta zwanego Wielkim Jabłkiem. I Tak oto, nie wiadomo kiedy, minęło 42 km 195 m i pozostało już tylko spojrzenie za plecy na czterdzieści sześć tysięcy innych, którzy mogli tę radość dzielić w dłuższym wymiarze czasu. Jeszcze spojrzenie na zegarek i nową „życiówkę” (3,36,21), poprawioną o przeszło pięć i pół minuty, potem medal, woda, miłe pozdrowienia i gratulacje ludzi mijanych po drodze do hotelu.

Następnego dnia uroczyste przyjęcie w Konsulacie Generalnym RP dla uczestników

maratonu z Polski (trzysta czterdzieści jeden osób) i pogoń za specjalnym wydaniem „The New York Times’a”, zawierającym publikację nazwisk tych, którzy ukończyli maraton w czasie poniżej czterech godzin. Szczęście, satysfakcja, poczucie spełnienia i parę innych uczuć na pewno uniesie każdego nowojorskiego maratończyka na następne dni.

rochę tylko żal, że to już koniec, że bieg życia, będący urzeczywistnieniem marzeń już za mną, że świętowanie przy udziale towarzyszących mi w podróży córek przeszło do historii. Czasem więc, marzenia można wybiegać i tylko szkoda, że... nie można wybiegać wszystkich.

Grzegorz Mazur

Zdjęcia: E. Mazur i A. Konieczna

PS. Biegać można zacząć w każdym wieku. Niech więc, moje ledwie dwuipółletnie przygody z bieganiem będą ku temu dobrą zachętą.